

Wychodzi codziennie o godzinie 4. po południu z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych.

Przedpłata wynosi:

kwartalnie	4 zgr. 60 cent.
miesięcznie	1 " 50 "
Z przesyłką pocztową:	
miesięcznie	2 " - "
z Austrią	6 zgr. - ot.
z Niemcami	6 zgr. - ot.
z Włochami	6 zgr. - ot.
z Turcją	6 zgr. - ot.
z Serbią	6 zgr. - ot.

Numer pojedynczy kosztuje 10 cent.

GAZETA NARODOWA

Przedpłata i ogłoszenia przyjmują:
 We Lwowie biuro administracji „Gazety Narodowej” w pałacu W. Ulanieckich. Ogłoszenia w Paryżu przyjmuje wyłączenie dla „Gaz. Nar.” agencja pana Adama, Rue Clément, 4, Paris. Prenumerata za p. pułkownika Raszkowskiego, Poczta nr. 33, w Wiedniu. P. Haasenstein et Vogler, nr. 10 Wallfischgasse. A. Oppelik Stadt Stabenbasti 2, Rother of Cm. I. Riemergasse 13 G. L. Danbo et Cm. I. Maximilianstrasse 3; w Frankfurtu nad Menem w Hamburgu pp. Haasenstein et Vogler.

OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 6 cent. od miejsca objętości jednego wiersza drobnym drukiem. Listy reklamacyjne nieopłacone nie ulegają frankowaniu. Manuskryta drobnie zwracają się, lecz wyciągnięte.

Lwów d. 9. sierpnia.

(Narady u Taaffe'go w sprawie rekonstrukcji gabinetu. — Z tego powodu przybył Czesi i Karlos Auersperg do Wiednia. — Obecne stanowisko przewodzców czeskich. — Polityk przeciw Czasowi i Pokrok przeciw Stowu. — Sprawa lichwy we Węgrzech.)

Cała polityka przedlitawska zajęta wyłącznie sprawą czeską, która teraz w nowy, stanowiący okres przechodzi. Półrządowcy, choć tylko z lekką, dają do zrozumienia, że przybycie Tiszy do Wiednia może stać w związku z tą sprawą, a dalej przyznają, że nie tylko Clam-Martiniz, Rieger i Pražak przybyli do Wiednia, ale i ks. Karlos Auersperg. A że przybyli podobno na zaproszenie samego Taaffe'go, to wpływa z doniesień czeskich, choć nie jest otwarcie wypowiedziane. Według nich do przeobrażenia gabinetu Taaffe nie mógł przystąpić, dopóki Czesi nie zdecydowały się wstąpić lub nie wstąpić do Rady państwa. Ten był powód zaproszenia, tudzież narady klubu czeskiego. Wiedeński korespondent *Politiki* pisze dalej:

„Przewodzący czeski, kiedy dostatecznie otrzymali wyjaśnienie, że od ich stanowiska zależy puszczenie w tok wszystkich spraw obecnych, które tak mocno ich interesują, tudzież że powinni nie dopuścić, aby rekonstrukcja gabinetu bez nich, a może nawet przeciw nim nastąpiła — ujrzeni się wcześniej niż przypuszczali wobec obowiązku patriotycznego zajęcia się stanowczo sprawą obywateli państwa, i w tym względzie dać sferom decydującym potrzebne premisy do dalszego postępowania. Narzędno pisma centralistyczne sąsą sobie głowę „gwarancjami” i „ustępstwami” — o to wcale nie chodzi na razie, ale wyłącznie tylko o odbudowanie gabinetu, które innym pójdzie torem, jeżeli szanse pozwolą Czechom wstąpić do Rady państwa, a innym, jeżeli tych szans nie będzie. Co dalej? — to się potem okaże, a rzeczą będzie nowego gabinetu zastanowić się, jak należy akcję poczętą dalej snuć, i do pomyslnego sfinalizowania doprowadzić.”

Nova Presse mocno jest tem zaniepokojona, że hr. Taaffe wezwał reprezentantów czeskiej szlachty historycznej i centralistycznej, tudzież Czechów czeskich i morawskich, a nikogo z kasy praskiego. A któż temu winien?

Narodni Listy przemawiają za zaprowadzeniem powszechnego głosowania. Jest to podobno tylko strasak na bakawków, gdyż spełnić się to zdanie w Przedlitawii nie da.

Przedlitawski komunikat pórządowy z Wiednia, zapewniający, że Czesi z pewnością otrzymają jednego ministra fachowego, ale ministra dla Czech nigdy nie otrzymają. Nie jest to zdanie niesłuszne, ale od Leopolda I. ciągle dążono do centralizacji administracji i zniesienia nadwornych kancelaryj dla pojedynczych krajów, w które by się narodowe teki ministerjalne zamieniły. W Galicji są stosunki odrębne, i dlatego ona otrzymała takiego ministra.

Artykuł w Czasie jakiegoś posła do Rady państwa, podpisany „M.M.” zowie *Politik* najszaleńszą, jaka być może, konfuzją; odmawia mu wszelkie znaczenia polityczne i nie może go uznać za program Koła polskiego. Owym „M.M.” — powiada — nie może być dr. Marcell Madajski, bo ten by nie kompromitował się taką nieznaną osobą (prawi n. p. o 14 tylko krajach przedlitawskich); więc jest to chyba p. Mieroszwiski, który ongi sprawiał takie gaudium dziennikarstwu wiedeńskiemu.

Główny organ czeski *Pokrok* daje Stowu dosadną odprawę za wiadomy artykuł, w którym uderzył na Czechów jako nieprzyjaciół

Stowian; przyczem nie oszczędza i posłów świętojurskich.

Pragski korespondent *Kurjera Pozn.* pisze pod d. 5. b. m.:

„Dr. Rieger, wróciwszy w sobotę z Wiednia, dziś znowu tam dotąd wyjechał. Układy pomiędzy przywódcą czeską a hr. Taaffe'iem wzięły obrót bardzo korzystny dla obu stron. Przewodzący niebawem nastąpi zmiana ministerstwa. Pp. Glaser, Chlumetzky i Depretis, którzy w odnowionym gabinecie przedstawiają żywioł centralistyczny, niezawodnie ustąpią. W ich miejsce zamianowane będą osoby bez wyraźnego znaczenia politycznego lub raczej stronnictw. Czy zaraz jeden z posłów czeskich bądź jako minister bez teki dla Czech, bądź jako minister któregoś z wydziałów wstąpi do gabinetu, to nie jest dotąd rzeczą pewną; być może, iż to stanie się dopiero po rzeczywiście obywateli przez Czechów Rady państwa. Obesbanie to nie ulega jednak już wątpliwości. W zamianowaniu ministerstwa ugodowego, albo raczej w przeobrażeniu obecnego gabinetu w kierunku takim, następnie zaś w istocie większości albo przynajmniej tak silnego stronnictwa autonomistycznego, że wspólnie z rządem zdoła nadać kierunek przyszłej polityce, Czesi widzą tę rolę, której im potrzeba, aby wstąpienie do Rady państwa nie wydawało się z góry jako akt rozpaczliwy i bez wszelkich nadziei. Hr. Taaffe oczywiście tak w imieniu klubu hr. Hohenwartha, który jest jego głównym inspiratorem, choć nie lubi występować publicznie, jako też w imieniu Koła polskiego dał Czechom zapewnienie, że te stronnictwa popierają rząd we wszystkich sprawach, dotyczących zaspokojenia upragnionych żądań czeskich. Czesi tem łatwiej mogą poprzestać na tych zapewnieniach, ponieważ hr. Taaffe był dotychczas ministrem, rzeczywiście będzie posiadał w łbie większość. Po między r. 1871 a obecną chwilą zachodził więc ta różnica, że wówczas osoba hr. Hohenwartha nie wydawała się Czechom dostateczną gwarancją, lecz przeciwnie domagali się poprzednio cesarskiej sankcji dla artykułów fundamentalnych, gdy przeciwnie teraz w ministerstwie, na którego czele stoi hr. Taaffe, widzą dostateczną gwarancję. Czesi więc od r. 1871 znacznie zmniejszyli swe żądania, po stronie zaś dworu, którego powiernikiem jest hr. Taaffe, zawsze równa istnieje gotowość do ugody z Czechami. Naturalnie ugoda ta nie może dziś sięgać tak daleko, jak artykuły fundamentalne r. 1871.

Z tem wszystkim, w przeciwnieństwie do ogłoszonej temi dniami w *Kurjerze* (Z) korespondencji tutejszej, układy pomiędzy Czechami a Kołem polskiem uważam jako warunek niezbędny dalszego skutecznego działania parlamentarnego. Czesi bez poparcia Polaków nie osiągną tego, do czego mają prawo. Na odwrót, gdyby Koło polskie nie przyłączyło się stanowczo do stronnictwa autonomistycznego, gdyby chciało i nadal zająć jakieś pośrednie, neutralne stanowisko, natenczas nie tylko by sobie zraził jedynych szczerych przyjaciół, autonomistów, pomiędzy którymi zresztą jest kilkadziesiąt posłów niemieckich, reprezentujących przeważną część ludności niemieckiej, i że pośrednio poprzez zupełnie do rządów nieuprawnioną frakcję liberalno-centralistyczną, ale nadto sprowadziłoby nową erę centralizmu, który w końcu z natury rzeczy zwróciłby się nie tylko przeciwko autonomii, lecz także przeciwko polskiemu żywiołowi w Galicji. Ciągła neutralność w najważniejszych przesileniach europejskich głównie przyczynia się do upadku Polski, bo gdy żadne państwo, ani nawet Francja (np. w czasie 7-letniej wojny), nie mogło liczyć na sojusz z Polską, ostatecznie jedne państwa wołały rozebrać

ją, a drugie uważały to jako rzecz dla siebie obojętną.

W Austrii walczą teraz na dobre dwa stronnictwa: autonomistyczne i centralistyczne. Przystępując stanowczo do pierwszego, Koło polskie nie zrazi sobie bynajmniej Niemców, bo przynajmniej połowa Niemców austrijskich przyznaje się do tego stronnictwa, przechylając zaś przez neutralność szalę zwycięstwa na stronę centralistów, straciłoby resztki sympatii Czechów, Słowianów, Dalmatyńczyków i konserwatywno-federalistycznych Niemców, nie zyskując za to nic. Mimo, że to wszystko jest aż nadto jasnym, dotąd niestety układy pomiędzy klubem czeskim a polskim nie uczyniły żadnego postępu. Tymczasem już pierwszego dnia po zebraniu się Rady państwa stanie wobec autonomistów bardzo praktyczna kwestja wyboru marszałka. Trzeba, aby wybranym został taki, któryby dozwolił wnieść postom czeskim protest, czyli zastrzeżenie praw historycznych królestwa czeskiego. Aby wybór taki przyszedł do skutku, wszyscy autonomiści bez wyjątku, po poprzednim porozumieniu się, musieliby głosować solidarnie. Ale czy ta próba generalna wypadnie szczęśliwie?”

Członkowie zwołanej przez rząd ankietki dla sprawy lichwy, przybyli do Pesztu, ale uchwalili zająć, co w tej sprawie uchwali Berlin i Wiedeń, a potem przystąpić do narad.

Zwracamy uwagę na podaną poniżej „Rozmowę z dr. Riegerem”, tudzież na artykuł: „Na Szlaku czy w Turcji.”

Korespondencje „Gaz. Narod.”

Wiedeń d. 7. sierpnia.

△ Kto jeszcze powątpiewał o prawdziwym charakterze i dążnościach Litowczyków, zowiących się niemieckimi liberałami, ten niech przeczyta dzisiejszy wstępny artykuł *Nowej Pressy*, a znajdzie w nim wyznanie owej wiary, jaka ożywia tych opiekunów konstytucjonalizmu w Austrii. „My tu chcemy wyłącznie panować i rządzić; nie bez naszego współdziałania stać się nie powinno, a wszelka, choćby najbawniejsza myśl, powzięta bez naszej wiedzy i przeprowadzona bez naszego pośrednictwa — znajdują w nas zapamiętałych, niezem nie ustraszonych przeciwników. Myśmy byli gotowi i chcieli dać Czechom więcej od tego, co teraz sami żądają i co na podstawie ugody z rządem i porozumienia z „Polakami” osiągnąć spodziewają się za fakt pominięcia nas, będziemy przeciw nim i w sejmie pragskim — który w razie potrzeby zdekompletujemy — i w wiedeńskim Radzie państwa, w której jeszcze tak liczba jak i postawa „nasza” musimy do liczenia się z nami wszystkich tych, którzyby mieli zamiar przejść nad „wiernokonstytucyjnymi liberałami” do porządku dziennego.”

Oto jest mniej więcej esencja rozumu stanu stronnictwa, które panując i rządząc zabagniło w ciągu lat kilkunastu wszystkie niemal sprawy, i które, powodowane miłośnią własną i osobistymi pobudkami, dziś jeszcze nikomu odzwiniętych takowych nie pozwala. Pocz jasno wytknięty cel, pocz nowych środków i świeżych, młodych sił, kiedy są Herbsty i Kopyy ze swymi „Verfassungstreue”, co jak pigułki morysońskie, ma służyć na wszelkie słabości państwa austrijskiego.

O skutku dotychczasowych negocjacji hr. Taaffe'go z Riegerem, Clamem, Hohenwartem itp. nie pewnego dowiedzieć się jeszcze nie można, bo też w tej sprawie, jak w ogóle we wszystkich, co dotąd przedsięwziął hr. Taaffe, trudno a nawet niepodobna znaleźć przewodniej myśli, programu i planu. Stronnictwo państwowe, ugo-

da z Czechami, owe zgola wszystkie szczegóły, mające być symptomami tak zwanej „ery Taaffe'go”, tak są zagmatwane, że niejasnością, niepewnością, a co bardziej dwuznacznością swoją oddziałują nie tylko na stosunki przedlitawskie, ale nawet grożą pewnym zamętem we wnętrzu sprawom węgierskim. Nie bez powodu (?) zapewne błakają się tu i ówdzie fantomy reakcyjne, a w miarę, jak takowe służą za dogodną broń zdeklarowanym przeciwnikom hr. Taaffe'go, tak też odstręczają słusznie od niego tych, którzyby pod pewnymi warunkami pożądanymi jego zwolennikami być mogli i którzy nimi dziś jeszcze być chcą.

Dla przekonania się, jak się wspomniany organ centralistów na kwestję koncesyj zapamiętuje, niech posłuszny następujący ustęp: „Przeciw pogłoskom o zamianowaniu ministra dla Czech, które znalazły poparcie w artykule, zamieszczonym w tych dniach w *Politiki*, powstaje stanowczo półrządowy korespondent *Pestor Lloyd*. Twierdzi on, że ta lub owa teka będzie ofiarowana wybitniejszemu jakiemu posłowi czeskiej narodowości; rada ministrów jednakże, odpowiednio do tradycji państwa i dynastji, zatrzyma swój ogółno-austrijski charakter i nie będzie rozłożona na narodowe ministerstwa, z którychby kancelarje nadworne powstać musiały. Odwołanie się na Galicję nie jest odpowiedniem. Minister dla Galicji jest wyjątkiem, ponieważ w tym kraju koronnym zachodzą wyjątkowe okoliczności. Ostatnie twierdzenie — dodaje N. Pr. — ma rzeczywiście słusność po swojej stronie; Galicja zajmuje wyjątkowe stanowisko, ale zajmuje takowe od chwili, w której dr. Ziemalkowski został zamianowany ministrem dla Galicji, ponieważ rząd potrzebował wówczas Polaków i robił z nimi polityczne interesa. Właśnie istnienie ministra dla Galicji dowodzi, że „tradycje państwowe” nie są dostateczną zaporą, jeśli ze względu użyteczności (Opportunitäts-Gründen) zamierza się wytknąć któremuś z krajów koronnych wyjątkowe jakieś stanowisko. Ile zaś jest prawdy w tem półrządowym zaprzeczeniu, wypływa z tego, że dziś już zaliczają *Narodni Listy* zamianowanie ministra dla Czech do szeregu koncesyj.”

Otoż przy każdej sposobności i na każdym kroku potrzeba się spotykać z ślepa nienawiścią i prawdziwą wsiekielnią argumentów tego uprzywilejowanego organu konstytucyjnych arcydarzy.

W sferach, zwykle dobrze poinformowanych, utrzymują jako rzecz pewną, że w dzień urodzin cesarza, t. j. 18. bm. wkroczą wojska okkupacyjne do sandzaku Nowobazarskiego; do którego to czasu spodziewa się komisja austro-turecka podolać swemu zadaniu, polegającemu na przygotowaniu terenu dla wojsk okupacyjnych. Wiadomości, jakie ma mieć naczelna komenda w Serajewie pod względem rzekomego oporu przeciw okupacji ze strony Albańczyków, nie wzbudzają żadnych obaw. Gdy sobie przypomniemy, że takie same wiadomości miano przed rozpoczęciem okupacji Bośni i Hercegowiny, to mimowolnie nasuwa się troska o życie kilku tysięcy a choćby kilkuset tylko ludzi, idących na śmierć w imię traktatu berlińskiego.

Hr. Andrássy powrócił tu, głównie dla widzenia się i konferowania z ministrem rumuńskim p. Boereską w sprawie artykułu 44. owego traktatu. Wprost z ambasady rumuńskiej dowiadujemy się, że hr. Andrássy przychylenie się swoje do programu nowego bukareskiego ministerstwa w kwestji rewizji konstytucji rumuńskiej i uprawnienia żydów w Rumunii, czyni zawieszem od postanowień innych rządów, do których własnie p. Boeresko się udaje. Widać więc hr. Andrássy nie chce i w tym razie odstąpić od zasady swojej polityki „od wypadku do wypadku” a raczej od dworu do dworu.

Konstantynopol 5. sierpnia.

Z wielką ciekawością czytałem i odczytywałem *Gazetę Narodową*, objaśniającą powody upadku Chairedina baszy, wyczerpane z źródeł niemieckich. Rzeczywiście przynależą należą palme urojen, myślami, by nie użyć innego wyrażenia właściwszego, owym znakomitym reporterem, co kuja nowinki na kowadłe kłamstwa, młotem niemieckiej logiki, tak świetnie bluszczącej nad brzegami Sprei, Wezery, Inn, ehl! powiedzmy prawdę... i Dunaju.

Szlo o Murada, jak powiadają... i Chairedin nie chciał się przychylić do środka, mającego otworzyć ex-sultanoj szerokie bramy mahometańskiego raju, i dla tego musiał ustąpić. Zatem następstwem lożczem: Aarif musiał się zgodzić na ten środek... to jasne jak słońce dnia pogodnego.

Otoż Murad dotąd żyje, i wątpić bardzo należy, — bacząc na łagodny charakter jego brata, — iżby ten ostatni kiedykolwiek chciał się targnąć na jego życie; a gdyby nawet zamierzał dopuścić się zbrodnicygo czynu, pewnieby myśli swojej pod obrady ministerjalne nie poddawał; narady podobne nie trwałyby parę tygodni; wtajemniczeni w nią oponenci byłiby pierwszymi ofiarami; a dokonywujący zbrodni nie pospieszyłby wcale zawiadomić o tem szwabskie *Zeitungen* lub ich korespondentów, których zresztą nie tak łatwo po piwniakach znaleźć.

Rewolucje, konspiracje palacowe, czy to w Turcji, czy w Petersburgu lub gdzieindziej, nie zaciągają się do protokołów ministerjalnych. Kilku się umówiło i szarfa skróciła życie Pawła; Aleksandra I., spiącego, zatruta chustka muslinowa przeniosła do wieczności; Abd-ul-Asiz porzucił ręką sabbie żyły nożycami; — kto kierował ręką Ravaillaca, mordery Henryka IV? wiadomo dobrze... lecz, ani śladu o tem wszystkim na radach ministerjalnych i w protokołach z nich spisanych.

Chairedin, człowiek zdolny a nawet dosyć energiczny, upadł w wyczerpały się siły bodźca co go utrzymywał na posadzku... to jest jego ambicja. Dla niej to znosił on przez dziewięć blisko miesięcy wszelkiego rodzaju upokorzenia, pokatę sztyderstwa, docinki i t. p. Najrozmaitsze intrzygi paraliżowały wszelkie jego usiłowania, a tymczasem nieraz musiał jeszcze polknąć gorzką pigułkę od przyjaźnych ambasadorów, nagłych go do dopelnienia tego lub owego ulepszenia, wyrzucających to lub owe zaniedbanie, w istocie miejsca niemające.

Znużony tą walką, co żadnego dodatniego rezultatu nie przynosiła, a ujemnych nie mało sprowadziła, złożył swą motywowaną dymisję, której szorstkość wyrazów pomijając, (można ją w tłumaczeniu na francuskie wiedzieć i czytać w ambasady żywej Turcji), streszczam ją w dwóch słowach: albo powrót jawny, otwarty, do despotyzmu dawnego; — lub sumienne wejście na drogę konstytucyjną, na której odpowiedzialność ministerjalna nie będzie czczym wyrazem. W tym ostatnim wypadku Chairedin gotów był pozostać na swej posadzce, i pójść się wprowadzenia niezbędnie potrzebnych reform, opierając się na powadze praw zagłosowanych przez parlament.

Jednym słowem wypowiedział dotobnie: panuj wasze, a nie wtrącaj się do rządów należących do Izb, z których większości wypływa władza wykonawcza: ministerjum. Było to echo myśli i dążeń Midhata baszy!

To też kamarylla podnosiła krzyk trwogi i oburzenia; szamotanie się intrzygantów przeszło wszelkie wyobrażenie, przyszłość czarna malowała się dla wszystkich złodziej, (mówiono nawet, zapewne żartem, że ci niewprawni w rzemiosło, pod opiekuncze skrzydła Dondukowa schronić się zamierzali); narady ministrów trwa-

DWIE FAZY.

Nowella
 przez
 Wacława Małowskięgo.

(Ciąg dalszy.)

Wstał i zbliżył się do Leszka.

— W tej chwili, — rzekł miękko — miałem na myśli wyłącznie twoje dobro, rozpatrz się!

Pani Rothowa i Zoa pokazały się na ganeczce, gotowe do przechadzki. Mężczyźni do nich się przyłączyli i całe towarzystwo, poprzek różniny udalo się w góry.

Zoa szczebiotła, usmiechała się, zrywała kwiaty po drodze, zgola żyła jak naiwna dziewczeczka, co się cieszy zbytkiem sił żywotnych, łączy się z otaczającą przyrodą i śmieje się z nią razem. Jeśli tym sposobem chciała udobroczyć Henryka, to się jej nie powiodło. On się tak zachowywał, że usposobienie jego można było różnie tłumaczyć: pani Rothowa widziała go obwołanego grzesznikiem, panna Zoa — sztyderskim. Leszek mówił mało, lecz za to wiele się zastanawiał nad ostatnim słowem Henryka, a w rezultacie tego postanowił przerobić Zoę. Któryżby mógł pomyśleć, że ona nie porwała się na przerobienie dziewczyny, co go szkodowała!

Tymczasem towarzystwo weszło na Popową Górę.

— Ach, jak tu ładnie! — zawołała Zoa, klaskając w dłonie.

Krajobraz rzeczywiście był piękny. W głębokiej dolinie, ku rzecze pochyłej, u stóp ich rozłożył się krociowy gród Gedymina... Na prawo wysoko się wznosił Zamkowa Góra w koronie z poszczerbionych murów, nad którymi powiewa bandera caratu, dalej szeroko rozlała się Wilja i w dali zamglonej znika pośród lasów, Na lewo — lesiste góry szerokiego półkolem otaczają miasto, potem się łamią i wprost biegną ku Wilji, z tyłu samyjącej krajobraz. Prawa po samym ich środku, a otwartego wąwozu,

wypada na dolinę Wilejka, wiję się między domami, przecina ogrody, dobiega podnóża Zamkowej Góry, otacza ją, w swawolne wykryte wygięta, a potem się rzuca w Wilji objęcia...

Różowe promienie wieczornego słońca śliznęły po dachach domostw, oświecały okna, zapaliły wież kościelnych krzyże, barwnymi blaski odbiły się od zmurszałych starożytnych gmachów i na falach Wilji złościami się kołyszą płatkami... Oto daleko, z tamtej strony obrazu, ukazał się pociąg na żalanie góry, pędził po wysokiej grobli, przecinając gaje, zanurza się w wąwoz, znow się ukazuje i z hukiem wpada na most Ostrobramski.

Zda się nie mogąc oczu oderwać, Henryk długo patrzył na miasto, a twarz jego, sroga i ironiczna, cieniem pokryła się smutku.

— I tyle piękna dla nas! — cicho wymówił nareszcie. — Za co?... Czysmy warci?... Biedna perła biblijna! Obrzuciliśmy cię błotem, brudem powlekliśmy jak skorupą grubą, odpłaliśmy pamiętki po świętej przeszłości i na łozach, wygodnie ręką wroga postanych, spimy ciężkim snem apatii i sobkowstwa... Szkarada!

Zoa ośmiechnęła się, widocznie nie pojmując co się Henrykowi stało, a Leszek zauważył:

— W istocie, nasza ospałość doszła zenitalu. Tyle lasów na pniu gnije, połowa ziemi leży marnie; w kieszeniach naszych pustki, w żołądkach kartofle i chleb z plewy; rzemiosła — jak u dzików, handel lichy, a o fabrykach i oświecie tyle wiemy co o księżycu. Wyrzekamy tylko na ciężkie czasy, pocieszając się nadzieją na opatrnicową pomoc!

— Czyżaj w tem wina?

— Przecież to jasno! Powiesz pan, że nie mamy dróg do zbytu, żeśmy daleko od handlowych centrów, że brak nam na początek kapitałów? Ależ wszystko się robi powoli, zaczyna się z małego!... Oto, dajmy ludowi oświatę, o budźmy w nim potrzebę lepszego życia, a wszystko się zmieni!... Spójrzmy na Anglików! My zaś jako oczy wznosimy do nieba, tam wyglądając Mesjasza ekonomicznego!

Leszek mówił to przedko, jednostajnie podniesionym głosem, jakby zadana lekcję recytował; Henryk usmiechnął się odpowiedział:

— Nie bronie lenistwa, tylko nie w niem widzę złego przyczynę! apatii, która stusnie

pana oburza, nie jest naszą narodową własnością; jest ona jak grzyb, co rośnie jeno w wilgoci i cieniu; na zdrowym, suchym gruncie, gdzie słońce ciągle świeci, grzyb nie wyrośnie. Myśmy kiedyś byli gospodarni, pracowici, zapobiegliwi, ale zmieniło się nasze położenie, i grzyb rość zaczął. Zakuj pan najbardziej przedsiębiorczego Anglika, żeby ruszył się nie mógł, a obaczysz, że zacznie poglądać na niebo, czekając ztamtąd pomocy, bo coż mu zostanie oprócz nadziei, która dopiero z ostatnim tchnieniem opuszcza człowieka!

— Możemy przecież oświecać naród, uczęgo oszczędności, umoralniać.

— Możemy, dajmy na to, ale przez to czego dojdziemy?

— Właśnie osuszmy nasz grunt, jak się pan wyrażasz, wystawimy go na działanie słońca...

— Co wypadnie na szkodę naszych wrogów, nieprawdaż?

— Wrogów?... Ja bo, widzi pan, chciałbym, żebyśmy choć raz przestali mieć wrogów, wszakże musimy przyjść do wzajemnych ustępstw.

— Nie widzę jak się to stać może... Nie wątpię, że od nas przynijma wszelką ofiarę na rzecz zgody, o której nie myślą, bo w ich oczach, z ich stanowiska, wszelka zgoda, a więc rodzaj paktu, jest śmieszna, a konieczności jej nie ma.

— Nie będę się spierał, bo to inna materia. Jeżeli już zawsze musimy być wrogami tych, z którymi się ciągle ścieramy, a którzy bądź co bądź na każdym kroku wpływają na nasze życie, to jakże ten smutny fakt niezgody będzie ujemnie działał na naszą pracę we własnym domu? Naturalnie, jeżeli się ograniczonym do środków legalnych.

— Legalne środki! — powtórzył Henryk. — Legalne!... Użyłś obcego wyrazu jakby na dowód, że rzecz, którą on wybraża, jest dla nas obca. Pomyśl pan tylko, wszakże i wróg ma mnóstwo środków legalnych spaczyć wszystko co zamierzymy zrobić. Kodeksy i statuta, — których *nota bene* nie mamy, — mogą być, ale same dla siebie, jako martwa litera, dla oka, dla Europy, żywym zaś słowem zostają zawsze drobniczyckie administracyjne rozporządzenia, co się sączą niewiadzialnie, wycysytują się czasami wprost z mizy gubernatora, i działają z pewnością le-

piej od wszelkich statutów. Pan powiadasz: środki legalne, zabronić ich nie można. Ależ one, ze stanowiska naszych wrogów do nielegalnych celów prowadzą, więc wróg tym środkom zawsze potrafi legalność odebrać.

— Więc wyjścia zgoda nie ma?

— Owszem, jest: zerwać pęta!

— Jakto?!

Leszek przerażony dużymi oczami patrzył na Henryka, i oba jakiś czas milcząc nie spuszczał z siebie oczy. Henryk spojnie jak siedział badał twarz Leszka, który zwolna przybierał stytyną postawę.

— Nudzimy panie naszą rozmową — rzekł zimno i zwrócił się do Zo. — Nieprawdaż pani?

— Nie a nie nie rozumiałam, jak gdybyście mówili po chińsku. Pęta i kodeksa, fabryki i grzyby, cha, cha, cha!

— I ja także — wtrąciła pani Rothowa. — Była to widocznie bardzo metafizyczna rozmowa. Ale, ponieważ skończyliście ją, może wrócimy do domu?

— Wracajmy! — zawołała Zoa i śmiejąc się z góry pobiegła. Za nią pospieszył Leszek, a pani Rothowa, wsparty się na ramieniu Henryka, schodziła powoli, podziwiając zdolność mężczyzn mówić tak, że w istocie nie zrozumieć nie można. W swoich wspomnieniach znalazła ona mnóstwo dowodów tej szczególnej zdolności i przytaczała je ze wszystkimi szczegółami.

U podnóża góry towarzystwo się szczytło.

— O czemuś to mówiliście panowie? — spytała Zoa. — Panie Leszku, coż to są grzyby, pęta i kodeksa?

— Zagadka pod tytułem: jak naród zrobić szczęśliwym?

— Narod, to tyle, co chłopcy?

— Prawie tyle, — usmiechnął się Leszek.

— Z dodaniem szewców, krawców, doradczy i wszystkich tych... — dorzuciła pani Rothowa. — Jajem ich zaraz zrobiła szczęśliwymi... Trzeba tylko wrócić pańszczyznę; tak mówił ś. p. mój wuj senator i tak mówi mąż, więc to musi być dobrze... Ach, te komary!... Zoa, nie spiesz się!

— Kiedy pan Henryk taki milczący!... Chcesz pan, ja powiem jak uszczęśliwić chłopów?!

Zalotnie zajrzała mu w oczy.

— Chcesz pan?

— Proszę!

Do ust przyłożywszy paluszek, Zoa mówiła z powagą:

— Był król dobry, odważny, rycerski; wszystkie damy z pewnością w nim się kochały, a my obywatelstwo na nas pensji, co już dowodzi, że był także rozumny i nie mógł się mylić. Miał on to samo imię, co pan, panie Henryku, i także ciągle myślał o szczęściu chłopów, a widział je dla nich w możliwości zjadania codziennie kury na obiad. Otóż i ja tak myślę, jak ten poczciwy król Henryk.

Czy historyczne wiadomości Zoi śmiesznie się wydały Leszkowi, czy też ostatnie jej wyrażenie, wymówione z przyciskiem, przykro go dotknęły, tylko odrazu poczuł chęć zgody. Ale w kogoż miał zapuścić swe żądza, jeśli nie w Henryka, który był dlań nieznośny! Rzekł tedy:

— Król Henryk Burbón był wielkim amatorem potrawki z kury i w istocie marzył o niej dla francuskich włościan, ale pan Henryk Korsi, doktor medycyny, ma szczególne zamiowanie do ostrych narzędzi, jak zresztą każdy operator, i niemi chciałby naszych włościan obdarzyć.

Zanim te słowa wyszły z ust Leszka, był on pewny, że powie coś dowcipnego a złośliwego przytem, rzekłszy zaś, postrzegł dopiero, że się mu dowcip wcale nie udał, a złośliwość chyba cień tylko dawał się czuć w jego głosie. Zły na siebie, a jeszcze bardziej na towarzysz, że się znalazł w tak żakowskięj poziej, idąc za podseptem niedobrego uczucia, co je Henryk w nim budził, Leszek zamilkł i odtąd jak się mówi parę z ust nie puścił aż do końca przechadzki. — Henryk, także ponury i milczący, szedł z opuszczoną głową, a myślami, zdawał się być gdzieś daleko. Instynktom kobiecym Zoa odgadła, że między nim a Leszkiem tego wieczora rozwarła się przepaść i to ją wprawito w dziwny niepokój. Czują, że Henryk, gdy zechce, może być straszny i bała się jego siły, chociaż nie przeciw niej skierowanej. Przyczeka, jak ptaszek przed burzą, jak ludzie słabi przed zbliżającą się katastrofą dziejową, i tylko czasami z ukosa spogląda na towarzysza.

(O. d. n.)

po całych nocach, wezwano także szejka-...
Islam; mianowano Kadri baszę, ale gdy program
jego nie różnił się od Chairedina, w parę go-
dzin przestał być wielkim wezyrem. A tymcza-
sem sir Layard nalegał, przedstawia upadek Tur-
cji, jeśli system zmieniony nie zostanie, na-
wet grozi; p. Fournier go wspiera, ale pałac
obrazony poutarza władcy, że Chairedin dąży
do umniejszenia potęgi Califa, jatrzy słabego
serca monarchę, a uparty Tunetaczycy ani joty
z programu swego wyrzucił nie chce, przekła-
dając astapię, aniżeli byłby narządkiem bezładu i
głównym czynnikiem ruin kraj.

Oto były rzeczywiste powody ustąpienia
Chairedina. Aby zachować jakie takie pozory
reform postępowych, zniesiono posadę wielkiego
wezyra, a powrócono do pierwszego ministra i
zamianowano Aarifi baszę. Szczegóły podane o
nim są dosyć dokładne ale nie zupełnie rzetelne.
Jestto człowiek świąty, nawet uczciwy, lecz o-
bojętny na wszystko, nie mający nigdy własne-
go zdania, stosujący się bezpośrednio do rozka-
zów monarchy, taki właśnie jak niezbyt prze-
jętą potrzebny na narzędzie despotyzmu. Saw-
feta baszę znać, czynny dyplomata, niepospo-
litych zdolności, schorowany, przekonany, iż z
Europy koniecznie ustąpić należy, nie mający
najmniejszej wiary w ducha, co w dziesięćkroć
większą mgłą bojownika, zamiłowany w pół-
środkach prowadzących zawsze do kłeski, a am-
bicją wygórowaną wyłącznie rządzony.

W tych dniach dopiero spodziewać się mo-
żna stanowczego ukonstytuowania gabinetu; czy
potrwa długo, przewidzieć nie można, bo prze-
ciw jej żyjemy w kraju „Tysiaca nocy”, i cudowność
nie jest tu nadzwyczajnością.

Tymczasem choroba Chairedina wymaga
wyjazdu jego za granicę. Były wielki wezyr wy-
brał Francję za swój szpital... i zapewne na
wynagranie i tem odzyska pokój duszy, który w
Jeldi-Kiosku, każdy niezależnego charakteru
człowiek stracił musi.

Zniewoleni stworzonym stanem rzeczy, am-
basadorowie francuski i angielski odwiedzi-
li Aarifi baszę w jego własnym yali. Nadbiegli tam
także i książę Libanów i znacznie dłuższą miał
rozmowę z pierwszym ministrem, aniżeli jego
poprzednicy. Co zaś do p. Zichego, ten złożył mu
swę powinszowanie w Wielkiej Porcie... — za-
mierzaając obecnie w krótkim czasie ogłosić
publicznie prawo o odpowiedzialności mini-
strów!

Łatwo możecie zrozumieć w jakim uspo-
sobieniu znajduje się sir Layard, jaka czynność
panuje w ambasadzie angielskiej. Przynać po-
treba, że jeśli Anglia zadrośnie pilnuje swych
interesów, dąży także z wytrwałością do zreor-
ganizowania tureckiej administracji, przekonana
będąc, że tylko tym sposobem Turcję wzmo-
cni i sobie istotny pokój zapewnić zdoła. W cicho-
ści, ale działa i potem na pewnych danych al-
bo czynności swe opera, lub też żądania for-
malne.

Przed kilku tygodniami wszyscy konsulowie
angielscy w Turcji będący, otrzymali szczegó-
we instrukcje, aby jak najstarannie zajęli się
zbadaniem, w jaki sposób podatki pobierane by-
wały na prowincjach. Raporty odpowiedzieli im
nadzsi, i wszystkie zgadzają się z sobą, twier-
dząc, że zaledwie jedna trzecia pobieranych pie-
niędzy, do kas publicznych wpływa. Operując
się na takowych spostrzeżeniach, ambasada przy-
spobabia notę zawiadamiającą Portę o tak krzy-
żujących nadużyciach, a jednocześnie ma się od-
nieść do swego rządu, aby silnym wystąpieniem
znagli nakoniec Wys. Portę do przystąpienia
do rzeczywistych usiłowań i ściągania sumienne-
go zbrodniczego publicznego.

Wystawa Towarzystwa sztuk pięknych.

Tegoroczna wystawa dzieł sztuki we Lwo-
wie jest — imponująca sądcą o niej z katalo-
gu, wydanej przez dyрекcję tutejszego To-
warzystwa przyjaciół sztuk pięknych.

Spotykamy się w katalogu tym z nazwis-
kami pierwszorzędnych mistrzów starożytności i
nowoczesności: Rembrandt i Matejko,
Salvator Rosa i Siemiradzki, Cer-
quozzi, Sassaferato i Andrea del
Sarto obok Makarta, Giordano obok
Rodakowskiego i t. d. Czyż Towarzystwo
nasze posiada już taki majątek, że jest w sta-
nie założyć galerję arcydzieł sztuki i otworzyć
tę galerję w auli politechniki? Czyż to nie jest
zwykła doroczna wystawa utworów tegocz-
nych naszych artystów? Wszakże wystawy To-
warzystwa naszego mają i mieć powinny na
celu zaznajomienie kraju z postępem sztuki, z
pracami naszych artystów nieznanymi nam je-
szcze, z kierunkiem w jakim postępują, z
wzrostem lub dekadencją talentów, a zarazem
powinny te wystawy, przynosić artystom po-
moc moralną i materialną zachętę do dalszej
pracy, do dalszego kształcenia się, tudzież po-
dawać im możność spieniężenia swych utworów
a jużci ani fra Angelo ani Rembrandt tej mo-
ralnej ani materialnej od naszego Towarzystwa
nie potrzebują pomocy. Zkądże te, zresztą wspa-
niale dawno zgasyłych mistrzów utwory, zna-
lazły przystęp na naszą wystawę? Wszak prze-
szło nasze Towarzystwo sam powiedział na
jednym z ostatnich walnych zgromadzeń, że:
„Ideały wieków zmarłych świecą wprawdzie jak
niezaprzerwale gwiazdy na widnokręgu sztuki,
miłujemy je i podziwiamy: ale teraźniejszość
nie powinna sobie własne utwo-
ry z własnych żywołów.” Dla czegoż
tegoroczna wystawa tak mocno odbiega od swego
celu, dla czego tak się różni od swoich poprze-
dniczek, dla czego obok stosunkowo nielicznych
prac tegocznych naszych artystów, widzimy w
tegorocznym lwowskim „salonie”, tyle niewy-
jątkowo pierwszorzędnej wartości, lecz bynajmniej
na tego rodzaju wystawie niewiastych, nieka-
lifikujących się płócien? Osobiście, wyznaje to,
jestem dyrektorem Towarzystwa naszego niewy-
mownie wdzięczny za to, że podała nam spo-
sobność zaznajomienia się bliższego n. p. z pys-
nymi bataliami Cerquozze, że podała nam
możność ponownego podziwiania portretu matki

gramu je przyjmie, wtedy na podstawie doty-
czącego zapewnienia wstąpiemy do Rady pań-
stwa.

Szczegółowo wymienić ich nie mogę; ale
rządzenia jest rewizja czeskiej ordynacji wybo-
rczej, która jest niesłuszną, jak to dodał na-
wet dr. Herbst, kiedy byłem z nim u Taaffego
w obecności de Pretisa, tylko przynają, że z
taką jaka jest, wygodniej Niemcom panować w
Czechach. Bemacy powiadają: „Po co mamy
nam dawać to, co byśmy potem od was otrzy-
mywać mieli, tj. równouprawnienie, które jużci-
dać byście nam musieli, bo my mamy Prusy za
sobą.”

Czeskie prawo polityczne pozostawiamy na
teraz na bok; bemackim meżom zaufania przed-
łożyliśmy trzy punkta, według których by to
prawo można pogodzić z konstytucją. Czeski
nie są prowincja, ani krajem zdobytym; miały
one do r. 1848 prawo pozwalania podatków,
główną rdzeń konstytucjonalizm; Herbst sam
przynać, że w razie, gdyby dynastia obecna
wymarta, Czeszy mają prawo wybrać sobie no-
wego króla. Jestto stosunek kontraktowy, który
tylko za zgodą obu stron zmienić można. Prawo
owe zatem nazawsze pozostanie nieknięte.

Co do niesłusznosci ordynacji wykazuje Rie-
ger, iż drobny właściciel większej posiadłości
ma równe prawo z tym, który 30,000 zł. i wię-
ciej podatku płaci; tudzież, że kurja ta wybiera
razem, a nie obwodami, jak w Galicji. Dalej,
należy z Izby handlowych wyłaczyć osobną re-
prezentację wielkiego przemysłu z ludzi, którzy
200 zł. podatku rocznie płacą, bo obecny system
oddaje wybory z Izby handlowych całkiem w ręce
każdego rządu. Czeskie okręgi miejskie mają po
70,000 wyborców, podczas gdy miasta niemieckie
już na 10,000 mieszkańców jednego posła wy-
biorają. Rząd tak ułożył ordynację wyborczą,
że zawsze zwyciężyć musi, oddawszy miasta
Niemcom, wieś Słowianom a Izby handlowe i
kurje dworską sobie przywłaszczwszy. W Kur-
ji dworskiej przeprowadzał chabrus, pozwalał
głosać nieobozczykom i cudzoziemcom. Zmiana
krajowej ordynacji wyborczej, to nasz główny
warunek.

Co do pytania, czy i państwowa ordynacja
wyborcza ma być zmieniona i czy ma iść oraz
przez sejm? — odparł Rieger: Według konsty-
tucji musi sejm ułożyć krajową ordynację wy-
borczą, a na niej opiera się państwowa ordyna-
cja. Jeżeli rząd — ale nowy, nie obecny, po
którym niczego się nie spodziewamy — przy-
rzeczy, iż na serio starać się będzie spełnić na-
sze zyczenia, które z konstytucją pogodzić się
dać, wtedy wstąpiemy do Rady państwa. Gdy-
by nas oszukano, możemy każdego czasu wy-
stąpić

Niemców uciskać wcale nie myślimy. Uo-
żoną za Hohenwartą z nami ustawą narodowo-
ściową minister Schaffle, poczciwy Szwab, mo-
cno się radował, iż ona w niczem nie robi u-
szerebku prawom Niemców.

Obecny przewodca bemaków pragnie pano-
wać Niemców w Czechach, i dlatego wszyst-
ko co niemieckie przeciw nam do broni powo-
łał. Ale co uzyskali Niemcy w Austrii od czasu,
jak Herbst w Radzie państwa panuje? Nie!
Czech, tak, że nawet inne kraje zazdroścą,
n. p. forytował koleje żelazne w Czechach —
odpiera Rieger: Tak; ale ja bym wolał, aby pań-
stwo wcale nie było się troszczyło o nasze ko-
leje. Jako członek niegdyś Wydziału krajowego
przedłożyłem był projekt, aby Czeszy drogą po-
życzyli krajowej same koleje swoje wybudowały.
Mielibyśmy lepsze koleje i lepszy procent dają-
ce. Ale to odrzucono pod śmiesznym pretek-
stem, że ją chcą tylko dać zarobek inżynierom
czeskim.

Co do tego, czy Czesi sądaniami swemi dą-
żą do okrojenia prerogatyw Rady państwa a
rozszerzenia autonomii Czech — to widocznie
po dyplomie październikowym konstytucją luto-
wą, szczerzejszą i szerszą Radą państwa, kon-
stytucją lutową, wreszcie reformą wyborczą cią-
gle coraz bardziej okrawano autonomię. A
wszystkie te zmiany dokonano okrojoniem, a
nie według przepisów konstytucji. Nie myśmy
pragnęli okrojenia; przeciwnie myśmy zawsze
od nich cierpieli, tak i teraz ich nie żądamy.
Ale mówią prawdę: Rada państwa jest zbyt
przejęta. Wysiedzieć dziewięć miesięcy w
Radzie państwa, a potem miesiąc lub więcej w
delegacjach, potrafi wreszcie chyba tylko lekarz

Uprawiedliwienie dyrekcji leży w tej oko-
liczności, jak mówią, że w pierwszych dniach
wystawy, tak mało nadestano jej nowych utwo-
rów sztuki, że chcąc konieczność sąle jakoś za-
zapewnić, widzieli się zniewolona szukać po-
mocy u osób prywatnych, posiadających obrazy,
i znalazła ją w zbiorach pp. Gołuchowskich, Po-
tockich, Sapiehow, Skrzyńskich, Hausnerów,
Dzieduszyckich i t. d. Zjadł to pochodzi to po-
zorne bogactwo wystawy tegorocznej.

Przypatrzyć się tej wystawie jakkolwiek
dyrekcja naszego Towarzystwa utrudziła nam
w tym roku to przypatrzenie się. Z powodu braku
funduszy, niedowalających jej opłacić kil-
kaset guldenów czynszu za najem sali w domu
Narodnym, gdzie dotychczas zawsze była wy-
stawa, urządziła ją tego roku w auli szkoły po-
litechnicznej, którą jej bezpłatnie odstąpiono.
Wprawdzie odległość jest szkodliwa na Nowy
świat, dla Wiednieczyka lub Paryżanina byłaby
małutkim spacerkiem, dla nas Lwówian jednak,
spędzających żywot między placem Mariackim
a teatrem skarbowskiem, to wojaż formalny na
który, zwłaszcza przy deszczu lub skwarze, nie
łatwo się decydujemy.

A przecież warto, i nieraz warto zaglądnąć
do wspianej auli gmachu politechnicznego. —
Wszedliśmy do tej sali pięknej, doznajemy bar-
dzo miłego uczucia, jakiego doznaje każdy czło-
wiek, gdy wszedłszy w liczne towarzystwo, mno-
stwo dobrych spotka znajomych, lub jakiego do-
znawało się n. p. za czasów świętności naszych
redukt, gdy nas z wszystkich stron witały ma-
ski, sakramentalne „znam cię.” Skoro wej-
dziesz na salę, powita cię najsamprzód staro-
winka, s. p. Tepla, znany publiczności lepiej ze
swego portretu ciągle wystawianego, niż z wła-
snej fizioznomii; tuż obok masz dobrze ci znaną
poważną postać kardynała, p. Rodakowskiego,
dalej o parę kroków wita cię sympatyczny u-
śmiechem s. p. Rodakowska; odwróciwszy się,
masz przed sobą dobrze ci znane choć zawsze
mnie widziane akwarele Kossaka. I tak co
chwilą stajesz przed kims znajomym: tu p. Ma-
szkowskiej portret malowany przez syna przed
kilkadziesiąt laty; tu syna jej portret malowa-

bez pacjentów albo adwokat bez partyj. Więc
i tu trzeba Radzie państwa ulżyć — tak tedy
znovu chodzi w końcu o zmianę krajowej ordy-
nacji wyborczej.

W Radzie państwa naturalnie dążeń na-
szych do autonomii nie porzucimy; jest ona
konieczną do wolności, jak widzimy w rządo-
wo-federalistycznej Angli i Szwajcarii. We
Francji scentralizowanej mimo wrzasku niema
wolności, tam ją zawsze rewolucjoniści zdobywać
potrzeba. Nawet Alzacji i Lotaryngii nadano
autonomię, a to kraje zdobyte! Centralizmu to
wina, że u nas ministrowie są wszeczwa-
dnymi.

Jeżeli Polacy rzetelnie mają zamiary, to che-
tnie pójdziemy z nimi w sprawie autonomii. Ale
w kwestjach wolności, jak dawniej tak i teraz
w niczem się Czechów obawiać nie należy. My
przedewszystkiem za Austrjaków się mamy i
będziemy też nimi w Radzie państwa. Nie bę-
dziemy tylko o nasze dbać interesa jak Polacy,
którzy powiadają: „Myśmy tylko prowizorycznie
w Austrii!” — i przynajmniej idealnie ich kró-
lestwo Polskie.

Przychodzimy tu w zamiarach szczerzych i
poważnych. Rząd, a raczej hr. Taaffe jest
tym „uczciwym machlerzem” (pośrednikiem).
Bez takiego żaden interes się nie odbędzie.
Gdzie chodzi o spór lub targ, trzeci musi tu i
tam perswadować — i tak przychodzi kompro-
mis do skutku.

Radziliśmy wprost rokować z bemakami, i
do tego zapewne przyjdzie. Ale gdybysmy ce-
kali, aż oni naserjo wejdą z nami w rokowania,
to byśmy nigdy do Rady państwa wstąpić nie
mogli. Wspólnie interesów łączy Czechów z
z Niemcami. Nasz wspólny kraj płaci największe
podatki i musi ubogie prowincje utrzymywać.
I my na to utyskujemy i Niemcy nasi. To je-
dynym lekarstwem federalizm, do którego osta-
tecznie dojdzie a na którym i Niemcy dobrze
wyjdą. Ilekroć Czeszy otrzymują jaką subwen-
cję, zawsze ona je więcej kosztowała, niż o-
trzymali. Kiedy o tem mówiliem z Taaffem i
de Pretisem, odwołali się de Pretis, że osama
właśnie powiedział mu Herbst, a Taaffe dodał
żartem: W końcu jeszcze pan z Herbstem staniesz
w opozycji przeciw rządowi.

Obecnie wyglądamy tymczasowej odpowie-
dzi rządowi, a raczej Taaffego, która zapewne bę-
dzie i Niemcom zakomunikowana. Odjeżdżam
dzisiaj z otuchą do Pragi. Do 14 dni a najda-
lej do trzech miesięcy musi się rozstrzygnąć
kwestja gabinetowa. Wtedy propozycje, które
Taaffemu przedstawiłem, przedłożę zebraniu
wszystkich posłów czeskich, którzy ostatecznie
zdecydują. Nie postępuję na własną odpowie-
dzialność, i nie mogę wszystkich odstąpić,
zwłaszcza co do utworzenia nowego gabinetu.
Clam-Martinitz co do swojej osoby nie pragnie
podobno wejścia do gabinetu, przynajmniej na
razie.

Pragniemy, aby raz przeciw mir nastal. Po
dobremu wiele można od Czechów uzyskać, ale
dotąd tylko jak zwierzę ich szczerzo. Już to
człowiek nie samemu tylko rozumem, ale i uczu-
ciem się rządzi, a tego wara dotykać! Należy
o tem pamiętać i dzisiaj, gdy sprawa ugodowa
znowu dojrzała do decyzji!

Na tem się skończyła dwugodzinna niemal
rozmowa.

Główną jej otępy podaliśmy dośownie.

Na Szlaku czy w Turcji?

Pod tym napisem czytamy w *Kurjerze Pozn.*
z d. 8. b. m.:

Korespondenci pism niemieckich ze Szlaska,
jak też katolickie pisma szlaskie opowiadają
następny burzający wypadek, który, gdyby w
wszystkich szczegółach swoich miał być praw-
dziwym, uprawniałby najupełniej do wyżej po-
stawionego zapytania: „Czy się to stało na
Szlaku czy w Turcji?”

Już w Zabrze, mimo najlepszych chęci do-
wódcy, pana von der Osten, działy się strasz-
ne rzeczy; być może, że i wypadki, opowiedziane
w pismach niemieckich, w głównych zary-
sach są prawdziwe, żeśmy już doszli do tego
smutnego stanu, iż rozpasane żołdactwo gorzej
od tureckich baszów nachodzi, brudnymi gna-
żkami, nocną porą ciche zagrody polskiego
włościanina, aby dom jego zhańbić — a nastę-
pnie, kiedy tenże posiadał nadstawiając głowę,
własną pierś osłania swe dziecko, krepuje go

wymalował marszałka Potockiego, jakiego nikt
nie znał. Gdyby nie nowoczesny rodzaj zarostu
na twarzy, możnaby ten obraz wziąć za portret
któregoś z marszałków z czasu Sasów. Potom-
ności przypatrzyć się temu portretowi, podzi-
wiać będzie Polaków a respective „Galician” z
końca XIX. wieku, taka w tej postaci marszał-
ka siła, tak muskularne ręce, taka zdrowa ce-
ra twarzy i taka w całości potęga fizyczna. Mi-
mo tej, propositu powiedziawszy przesyda, pomi-
mo tego, w kierunku siły fizycznej, idealizacji
postaci byłego marszałka, jest ten portret
arcydziełem w swoim rodzaju. Rysy twarzy go
chwycone z fotograficzną wiernością, może pra-
wa ręka, jak utrzymują, przydługą, może laska
marszałkowska zbyt sztywnie trzymana, ale jak-
żeż to wszystko potężnie malowane, jak wyko-
nane po mistrzowski ubranie, mianowicie żu-
pan, a już podobno makata, zracająca czerwony
na twarz refleks, jest szczytem technicznej do-
skonałości. Wszystko, co zarzucają temu portre-
towi, niknie wobec olbrzymich zalet obrazu, który
w ogromnym szeregu prac naszego wielkiego
mistrza, jedno z zaszczytniejszych miejsc będzie
zajmować zawsze.

Najrozmaitsze także sądy wywołuje portret
hr. T., wykonany przez Makarta. Niebald
rysowany, niebald malowany, sztywa za długi,
lewa ręka bez konturów; zbliżka patrząc wy-
gląda obraz jak dekoracja teatralna; pojedyncze
akcesoria chłastane, ledwie podmalowane, jakby
artysta brudny pędzel o półno obrazu tylko wy-
cierał, a przecież patrząc na to dzieło mistrza
niemieckiego, można stać godzinami w zachwy-
czeniu i na długo wynieść tego widoku najprzy-
jemniejsze wspomnienie. Kto tak maluje por-
tret? pytają przeciwnicy. Twarz z profilu a ca-
ła postać z tyłu tak, że widać tylko kaskadę
slicznych złotych włosów, spadających po śnie-
żnej szyi i ramionach prawie do stóp damy ple-
cami do widza obróconej.

A to tło szare, na którym cudny kontur
twarzy się rysuje, to nie peziel to chyba miot-
ła malowane, a te ornamenta na makacie, to
wcale nie malowane, to skrobane paznokciem
lub trzonkiem peźla! Wszystko to prawda, a je-
dnak stajecie i podziwiacie to urocze zjawisko,
pomimo że w tak niebezpiecznym wisi sąsied-
twie! Tuż obok z jednej strony „Matka” z dru-
giej „kardynał” Rodakowskiego, w których nie
ma jednej kreski nieumotywowanej, jednego
panknięcia zbytckiego, jednego zagięcia, jedno-
go faldziku nieprawdziwego, gdzie wszystko a
wszystko jest takim jak być powinno, jak być
musi, jak wielcy dawni mistrze peźla malowali

posttronkami i na pół nagiego wlecie przy ko-
niu o kilka mil do więziennej kazi.

Oto szczegóły tego do głębi wzruszającego
i burzającego wypadku. Podając go do wiado-
mości publicznej, nie czynimy tego bynajmniej
z chęci drażnienia naszych narodowych uczuć,
owszem zwracamy czytelników naszych uwagę
na to, że to, dzięki Bogu, dopiero pierwszy wy-
padek, jaki doszedł do publicznej wiadomości;
dotajemy też, że każdy fałszywy szczegół po-
niższego opowiadania chętnie prostujemy, i że
tak samo, jak pisma niemieckie, nie pragniemy
nie więcej, krom wytoczenia jak najcięższego
śledztwa i surowego ukarania winnych.

Do wsi Plania pod Raciborzem przybył od-
ział ułanów, należących do pułku załogującego
w Raciborzu, w Gliwicach i innych miastach, a
odbywających w tych dniach ćwiczenia wojsko-
we. Było to w zeszłą sobotę. Soltys Klimaszka,
czekacz i powszechnie szanowany, miał w
dom swój przyjąć sierżanta Heinzeego i jednego
szeregowca, — chcąc jednakże wygodzić wyso-
kiemu dygnitarzowi wojskowemu, umieścić go u
sąsiada, gdzie Heinze rozlokował się we wielkiej
izbie, podczas kiedy gospodarze mieścić się
musieli w komorze. Nadszedł wieczór i noc,
wioska się uciszyła i uspiła, kiedy nagle soltys
Klimaszka zbudzony został ze snu wołaniem
o pomoc swych dwóch służebnych, które zszed-
szy z góry, gdzie spiyali, oświadczyli, iż na
górze znajduje się jakiś żołnierz. Ponieważ ra-
zem ze służebnymi spiyali także na górze ille-
tnia córka Klimaszki, przeto podszedłszy ku schod-
dom, zawołał na nią soltys, ażeby copędzej ze-
szła z góry. W odpowiedzi atoli usłyszał te sło-
wa: „Ojciez pomóżcie mi, gdyż wstać nie mogę”.
Soltys wszedłszy na górę, od-pchnął nieznanego
żołdaka, w którym poznał sierżanta Heinzeego;
nastąpiły ohydne wyzwiska ze strony sierżanta,
przyszedł do popychania się, a kiedy Heinze na
wezwanie soltysa z góry zejść nie chciał, wtedy
Klimaszka ustąpił mu, i zeszedł sam do swego
pomieszkania. W niespełna godziny zjawia się
przed domem gromada ułanów, uderono we
drzwi, zaczęto wyłamywać je z zawiasów i krzy-
czano, aby soltys wyszedł przed dom. Soltys
Klimaszka, ubrany zaledwie w szarawy, chy-
cił za laskę sołecką, aby wyjść do napastników,
kiedy w teże chwili drzwi z trzaskiem wysa-
dzono, i gromada ułanów otoczyła gospodarza.
Soltys zawołał ich, aby się spokojnie zachowali,
aby się rozeszli, i jeżeli mają co przeciwko niemu,
aby donieśli do władzy. Zamiast usłuchać te-
go spokojnego wezwania, wytrącono mu z ręki so-
łecką laskę, wywleczono na podwórze, na rozkaz
Heinzeego skropowano go posttronkami, i jak ko-
respondent *Germanii* donosi, o czem wszelako
niemiecka *Raciborsko - Głupczyka Gazeta* mil-
czy, przyzwano do okubalczonego konia.
Okolo 20 ułanów otaczało dom soltysa. Wśród
straszliwych obelg, szturkań i razów przypro-
wadzono Klimaszkę przed mieszkanie wachmi-
stra na przedmieściu raciborskiem Ostróg. Kie-
dy wachmistrz na wezwanie Heinzeego wyszedł
przed dom, poprosił go Klimaszka z godnością,
aby go kazał wolno puścić, gdyż nie złego nie
popęplił, a że po niemiecku nie umiał, przeto
prośbę swoją po polsku wypowiedział. Za całą
odpowiedź otrzymał dwa ciężkie razy i te sło-
wa: „przeklęty soltysie, mów po niemiecku.” Na
rozkaz wachmistrza odprowadzono soltysa do
policyjnego więzienia w Raciborzu. Dodać tu je-
szcze winniśmy, że podczas transportu ze wsi
do miasta sierżant Heinze często Klimaszkę
tak mocno pociągał do konia że kopyla rękoma
krok za krokiem uderzał o nogi nieszczęśliwe-
go soltysa. Kiedy przybyli do miejskiego wię-
zienia, nie chciał wachmistrz, pełniący służbę,
przyjąć soltysa do więzienia, i polecił Heinze-
mu, aby go odprowadził do wójta w Bozoczu.
Skropowanego soltysa wleczono tedy do Bozo-
czu, nie szcędząc mu po drodze przykrości;
wójt wszelako, poznawszy o co rzecz chodzi,
zaządał od Heinzeego, aby Klimaszkę natychmiast
puścić na wolność, mimo że sierżant twierdził,
iż go Klimaszka chciał zabić. Heinze nie usłu-
chał wezwania wójta, zakomenderował „kehr”,
i powiół soltysa w towarzysztwie 4 ułanów
przed odwach główny w Raciborzu, gdzie też
soltysa uwieziono; było to o godzinie w pół do
czwartej. O godzinie 9. wręczone Klimaszce
trzy pisma i oświadczone mu, że może wolno
pójść do domu. Jeden z obywateli przysłał mu
ubranie, aby biedny soltys boso w spodniach i
koszuli nie przytębiał przechodzić przez miasto.

Klimaszkę wywleczono z domu, nie pozwolono
mu się ubrać, a kiedy z żoną z dziećmi bla-
gała, aby się litościwiej z nim obchodzono, od-
powiedziano na prośby te mocniejszym ścia-
gnięciem posttronków. Jeden z wieśniaków, któ-
ry zbudzony wrzawą wyszedł przed dom Kli-
maszki, widząc zniechęnie się żołdaków nad szano-
wanym powszechnie soltysem, miał powiedzieć:
„toć wy się gorzej z nami obchodzicie, aniżeli
w nieprzyjaźnielskim kraju!” — na co miał usły-
szyć za odpowiedź: „stul pysk (halts Maul),
myśmy byli w Zabrze, a choćby was tysiąc
przyszło, damy sobie z wami radę.”

Korespondent *Germanii*, który się widocznie
na dobrych informacjach opera i referat *Gas.
Racib. - Głupczyki* uzupełnia, zapytuje bardzo
śmiało: „jeżeli sierżant Heinze tak sobie po-
stąpił we własnym kraju z ojcem, który chciał
bronić swego dziecka od sromoty, czegoż dopie-
ro spodziewać się po nim można w nieprzy-
jaźnielskim kraju?”

Dzisiejsze szlaskie gazety potwierdzają tę
wiadomość. *Oberschl. Anzeiger* donosi, że sier-
żant Heinze należy do II. szlaskiego pułku
ułanów, że na górę mieszkania soltysa Klimaszki
wszedł za pomocą drabinki przez okno, — że
wachmistrz szwadronu, mieszkający w Ostrogu,
wymierzyl Klimaszce dwa policzki, że rewizja
lekarska wykazała kilka ran od kopyt koniskich
i pobicia przez żołnierzy. Śledztwo wytoczone
już dnia 3. b. m. w niedzielę. Sierżant Heinze
zwołał podkomendnych sobie żołnierzy, kazał
szy trębaczowi zatrąbić na alarm.

Moskwa.

O przyszeszowaniu Pletniewa, w którym
policja moskiewska upatrjuje Leona Mirskiego
sprawcę zamachu na Drentelena, piszą *Mosk.
Wiedm.*: Blisko przed dwoma tygodniami, oficer
stojący w Taganrogu brygady artyleryjskiej T.,
umieścił u dr. Rambreau obcego młodzieńca,
przedstawiając go jako swojego ucznia, który
się przygotowuje do wyższego zakładu wojsko-
wo-naukowego. Oficer odwiedzał często swojego
pupila pod pozorem, że mu daje lekcji matema-
tyki. Nagle policji wydało się to podejrzane,
i postanowiliś uwiezić młodzieńca, wpadła o-
godz. 4. po południu do mieszkania lekarza.
Młodzieńcze ujrawszy przez okno uniformy,
zbiegli copędzej na dziedziniec, skoczył przez
plot sąsiedniej realności, i zamtąd chciał wy-
biec na ulicę, aby uciec pogoni. Policjanci do-
biegli go jednak. Nieznajomy obrócił się wtedy,
i z rewolweru największego kalibru strzelił
trzy razy: do przystawa, do policmajstra Kus-
niewa i do oficera zandarmerji, lecz chybił
wszystkich. Na krzyk zbiegli się ludzie, i jakiś
młody czeladnik podszedłszy z tyłu, obalił ne-
znajomego na ziemię, poczem czynownikom udę-
ło się związać go. Nieznajomy strzelił jeszcze
czwarty raz, ale także chybił. Przesłuchany
odpowiedział: „Nazwam się Aleksander Nikola-
jew Pletniew i jestem moskiewskim rewolucjo-
nistą, lecz lat 24 Według naszych ustaw mam
obowiązek żyć moje dać tylko za życie kilku
moich prześladowców.” Po uwieszeniu Pletniewa
była także rewizja u oficera artylerji T., a na-
stępnie u kilkunastu uczniu tutejszych zakła-
dów. Słychać, że oficer został uwieziony. (Zo-
stało 4 oficerów uwiezionych; p. r.)

Pletniewa-Mirskiego przystawiono o 30. z.
m. do Petersburga koleją. Z dworca kolei Mi-
kolejki wieszano, by w zamkniętym powozie
pod eskortą więcej niż 50 szwadronów konnych,
i oddany do twierdzy Aleksandrowskiej. Mimo
późnej godziny — była 11 wieczór. — pu-
bliczność rozlekawiona tak ogromną eskortą
gromadziła się tłumnie na ulicach, ale zachow-
wała się spokojnie.

Z Odessy piszą do *Gołosow*. Donosiem już,
że proces oskarżonych o zesłoroczne tutejsze
rozruchy lipcowe rozpocznie się przed sądem
wojennym d. 6. sierpnia. Wszystkich obwołano
już 28. między tymi trzej kobiety, które
znajdują się we więzieniu koszar nr. 5 na Jam-
skiej ulicy. Tam też i rozprawa będzie się od-
bywała. Wstęp dla 70 osób tylko za biletami;
kobietom nie wolno. Podczas rozprawy wszelka
jazda i przechód na przyлегłych do koszar ulic-
kach wzbroniony będzie publiczności. Oskarżenie
wnosi prokurator Golicynski. Obronę prowadzą
kandydaci do służby wojenno-sądowej: Bobkow,
a mianowicie oskarżonych: Medwidiewa, Gorol-
nowa i Górkowskiej (stojących pod zarzutem sta-

malować uczyli. Mimo tego sąsiedztwa nie
tracił nie obraz Makarta, gdyż tu nie ma współ-
zawodnictwa, to dwa odrębne światy, dwa odr-
ębne talenta, dwie wręcz sobie przeciwne
szkoły, niejako klasyczna i romantyczna. Nie-
mowa surowi krytycy co chcą, należą do tych,
którzy Hansa Makarta wspomniany portret,
świadczący o artyście tego oryginalności fanta-
zji i głębokiem poczuciu piękna, uważają za naj-
wspanialszą ozdobę wystawy tegorocznej, za pro-
wódź tylu tuzinkowych płócien zjawisko, które
musi każdemu, kto je raz widział, na długo po-
zostać w nader miłej pamięci.

Siemiradzki tak się rozmiłował, cze-
mą zresztą nie można się dziwić, w starożytnym
Rzymie, że tylko z jego dzieł i z jego społe-
czeństwa, czerpie motywa do swoich obrazów.
To też i na tegorocznej wystawie naszej mamy
główną „Rzymianki”, śliczną, pociągającą, ładnie
odwrzostej barwnę makaty, stanowiącej sto-
odbijającą, a prawdziwie pysznie malowaną, w
sposób tylko podobno Siemiradzkiemu właściwy.

Tu wspomnę o zawieszonym w pobliżu por-
trete „dany” malowanym przez Paszkow-
skiego o Krakowa. Robi on niezwykłe, choć
niekoniecznie miłe wrażenie, jakkolwiek wybo-
rnie jest malowany. Pan P. ma koloryt, który
tegoż w młodym artyście zapowiada malarska,
śmiały, pewny, silny, imponujący, jak to mówią
szołcysty. Jeżeli portret ten niekoniecznie miłe
sprawia wrażenie, to wina może układowi ma-
lowanej figury, zlamanej, zgiętej, zresztą wyrzu-
tawry wiele bolesnego, może to portret osoby
mocno cierpiącej, chorej, ale pod względem wy-
konania samego bardzo dobry.

Cóż można by nowego powiedzieć nad-
to już tylokrotnie powiedziano o portretach
drzeży Grabowskiego? Doskonale! Osoby prze-
niego malowane, żyją, patrzą na nas, niemal po-
ruszają się i zdają się mówić, oto główna po-
dług tego portrecisty zaleta. Nie używa on
sztywnych środków, efektownych oświetleń, wy-
szukanych poz, jak kogo widzi, tak go „zry-
cem” na półno przenosi, a takich żywych por-
tretów dał nam pan G. ośm tego roku. Jeżeli
któremu z tych portretów można by dać pierw-
zeństwo przed innymi — choć i to trudno —
to chyba portretowi kanonika H. Scipiona, że
względem na artystyczne jego wykonanie, a czyż
i portret hr. St. żada wyszczególnienia, a czyż
charakterystyczna głowa znanego we Lwowie
funkcjonarjusza policji, nie jest doskonała? Sło-
wem portrety p. Grabowskiego walczą między
sobą o lepsze.

(Dok. nast.)

